

***NIGDY  
NIE GASNA***



ALEXANDRA BRACKEN

**NIGDY  
NIE GASNA**

Przełożyła: Magdalena Krzysik



Tytuł oryginału: *Never Fade*  
First published by Hyperion, an imprint of Disney Book Group.  
Copyright © 2013 by Alexandra Bracken

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska  
Korekta: Renata Kuk, Marta Stochmiałek  
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-203-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK  
Wydrukowano na papierze Creamy 70,  
dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Pamięci mojego taty*  
– jego umiłowanie życia i niezłomna odwaga  
inspirują mnie każdego dnia



## WSTĘP

Pierwszy raz przyśniło mi się to w drugim tygodniu pobytu w Thurmond. Później sen nawiedzał mnie regularnie przynajmniej dwa razy w miesiącu. Pewnie nie bez przyczyny narodził się właśnie tu, za buczącym elektrycznym ogrodzeniem obozu. Wszystko związane z tym miejscem redukowało człowieka do jego najpodlejszych instynktów, nieważne, ile lat minęło – dwa, trzy czy sześć. Dla ubranych w zielone mundury, zamkniętych w monotonnej rutynie czas się zatrzymał i charczał jak stary samochód. Wiedziałam, że przybywa mi lat, czasem moja zmieniająca się twarz mignęła mi w metalicznych blatach w stołówce, ale nadal czułam się młoda. To, kim byłam w obozie, odłączyło się od tego, kim byłam wcześniej, i pozostawiło mnie zagubioną gdzieś pośrodku. Zastanawiałam się nawet, czy wciąż jestem Ruby. W obozie poza swoim barakiem nie miałam imienia. Byłam numerem 3285. Plikiem na serwerze albo segregatorem zamkniętym w blaszanej szarej szafce na dokumenty. Dla ludzi, którzy znali mnie przed obozem, stałam się nieznajomą.

Sen zawsze zaczynał się od tego samego grzmotu, tej samej eksplozji hałasu. Byłam stara – powykręcana, zgarbiona i obolała – i stałam na środku ruchliwej ulicy. Być może działo się to w Wirginii, z której pochodzę. Od mojej ostatniej wizyty w domu minęło jednak tyle czasu, że nie mogłam być pewna.

Z obu stron mijaly mnie samochody jadące w przeciwnych kierunkach po prostej, ciemnej drodze. Czasami słyszałam grzmot zapowiadający burzę, innym razem wycie klaksonów, które wraz ze zbliżaniem się aut przybierało na sile. Niekiedy nie słyszałam zupełnie nic.

Ale oprócz tego sen zawsze był taki sam.

Identyczna kolumna czarnych samochodów dojeżdżała do mnie i zatrzymywała się z piskiem opon, by następnie, kiedy tylko podnosiłam wzrok, zacząć się cofać. Tak jak wszystko inne. Deszcz odklejał się od miękkiego, czarnego asfaltu i unosił w idealnych, błyszczących kroplach. Słońce sunęło po niebie w odwrotnym kierunku, goniąc księżyc. Z każdym takim cyklem czułam, jak moje przygniecione wiekiem plecy odginają się krąg po kręgu, aż znowu stałam wyprostowana. Kiedy patrzyłam na swoje dłonie, widziałam, jak zmarszczki i niebieskofioletowe żyłki się wygładzają, jakby starość się ze mnie ulatniała.

Dłonie z każdą chwilą coraz bardziej malały. Droga zdawała się rosnać, a ja tonęłam w za dużym ubraniu. Dźwięki robiły się ogłuszające, ostrzejsze i bardziej niepokojące. Czas cofał się z coraz większą siłą, zwalając mnie z nóg i taranując mój umysł.

Śniłam o zawracaniu czasu, o odzyskiwaniu tego, co straciłam, i tego, kim byłam.

Ale ten sen już do mnie nie przychodzi...



# 1

ZGIĘŁAM MOCNIEJ RĘKĘ W ŁOKCIU i zacisnęłam chwyt wokół gardła mężczyzny. Gumowe podeszwy jego butów waliły bezładnie o podłogę.

Wbijał paznokcie w czarny materiał mojej koszuli i rękawic, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Jego mózg został pozbawiony dopływu tlenu, ale nie zatrzymało to przeblysków świadomości. Zobaczyłam wszystko. Jego wspomnienia i myśli paliły mnie pod powiekami żywym ogniem. Nie odpuściłam jednak, nie poddałam się nawet wtedy, kiedy przerażony umysł strażnika wy dobył na powierzchnię obraz jego samego wlepiającego szeroko otwarte oczy w ciemny sufit korytarza. Może był już martwy?

Nie, nie dałabym rady go zabić. Prezentowałam się przy nim miernie – miał rękę grubości mojej nogi. Udało mi się go zaatakować tylko dlatego, że zaszłam go od tyłu.

Trener Johnson nazywał ten chwyt neck lockiem. Can opener, crucifix, neck crank, nelson, twister, wristlock i spine crank to kilka innych, których mnie nauczył. Dzięki nim, mimo zaledwie metra sześćdziesięciu, byłam w stanie unieruchomić przeciwnika, który miał nade mną przewagę fizyczną. To wystarczało, bym mogła sięgnąć po swoją prawdziwą broń.

Mężczyzna tracił kontakt z rzeczywistością. Wniknięcie do jego umysłu przyszło mi łatwo i bezboleśnie; wszystkie wspomnienia

i myśli, które docierały na powierzchnię jego świadomości, miały czarne plamy. Kolor przesiąkał przez nie jak atrament przez mokry papier. Dopiero kiedy się w nie wczepiłam, mogłam w końcu rozluźnić chwyt ręki.

Pewnie nie tego się spodziewał, kiedy wychodził na papierosa przez ukryte boczne drzwi sklepu.

Ostre pensylwańskie powietrze nadało intensywnie czerwony kolor jego policzkom porośniętym jasnym zarostem. Wypuściłam gorący wydech przez otwór w kominiarce i odchrząknęłam, w pełni świadoma, że świdruje mnie dziesięć par oczu. Przesunęłam trzęsące się palce po skórze mężczyzny. Śmierdział stęchłym dymem i miętową gumą do żucia, którą usiłował zamaskować swój obrzydliwy nałóg. Pochyliłam się i przycisnęłam do jego szyi dwa palce.

– Obudź się – wyszeptalam.

Mężczyzna z wysiłkiem uniósł powieki i szeroko otworzył oczy. Ścisnęło mnie w żołądku.

Spojrzałam ponad ramieniem na zgromadzony za mną oddział taktyczny. Wszyscy obserwowali rozgrywającą się scenę w ciszy zza masek skrywających twarze.

– Gdzie jest więzień dwudziesty siódmy? – zapytałam.

Znajdowaliśmy się poza polem widzenia kamer systemu bezpieczeństwa – podejrzewałam, że to dzięki temu strażnik czuł się na tyle bezkarnie, że wymykał się na kilka nadprogramowych przerw – ale niczego nie pragnęłam tak bardzo, jak mieć to już za sobą.

– Pośpiesz się, do cholery! – syknęła przez zaciśnięte zęby stojąca tuż obok Vida.

Dowódca oddziału zbliżył się do mnie od tyłu, a wraz z nim fala gorąca, która sprawiła, że zadrżały mi ręce. Penetrowanie czyichś myśli nie sprawiło mi już takiego cierpienia jak kiedyś. Nie wysysało ze mnie życia i nie supłało umysłu w węzły bólu. Uwrażliwiała mnie za to na silne uczucia osób znajdujących się w pobliżu – włącznie z obrzydzeniem emanującym z dowódcy. Z jego czarną jak smoła nienawiścią.

Kątem oka widziałam ciemne włosy Roba. Na końcu języka miał rozkaz, żeby kontynuować beze mnie. Z trzech misji, w których uczestniczyłam pod jego komendą, ukończyłam tylko jedną.

– Gdzie jest Więzień Dwadzieścia Siedem? – powtórzyłam, ponaglając w myślach umysł strażnika.

– Więzień Dwadzieścia Siedem. – Kiedy powtarzał te słowa, jego ciężki wąs drgnął.

Ślady siwizny sprawiała, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Kartoteka misji, którą otrzymaliśmy w kwaterze głównej, zwanej Bazą, zawierała notatki o wszystkich żołnierzach przypisanych do tego bunkra, łącznie z nim. Max Brommel, czterdzieści jeden lat, urodzony w Cody w stanie Wyoming. Przeprowadził się do Pittsburgha w Pensylwanii, bo dostał tu pracę jako programista, którą następnie stracił wskutek krachu ekonomicznego. Miła żona, obecnie bezrobotna. Dwoje dzieci. Zmarłych.

Fale ponurych obrazów zalewały każdy ciemny zakamarek i szczelinę jego umysłu. Zobaczyłam tuzin mężczyzn takich jak on, ubranych w identyczne jasne mundury moro, wyskakujących z tylnych drzwi furgonetki. Kolejna grupa wylaniała się z wozów bojowych, które otaczały większy pojazd pełny przestępców i podejrzanych o terroryzm – jeśli donos, który otrzymała Liga Dzieci, był prawdziwy, powinien być wśród nich również jeden z naszych najważniejszych agentów.

Patrzyłam, jak żołnierze wyprowadzają jednego... dwóch..., nie, trzech mężczyzn z ciężarówki, i nagle poczułam się spokojna. Nie byli to oficerowie Sił Specjalnych Psi ani FBI, ani CIA, a już na pewno nie oddziały SWAT ani SEAL, które mogłyby rozbić nasz niewielki oddział jednym gładkim uderzeniem. Nie, byli to przedstawiciele Gwardii Narodowej, którzy ze względu na niespokojne czasy zostali powołani do służby wojskowej. Nasz wywiad przynajmniej w tym jednym się nie mylił.

Żołnierze ciasno zasłonili głowy więźniów kapturami i popędzili ich w dół schodami opuszczonego sklepu do rozsuwanych srebrnych drzwi prowadzących do bunkra ukrytego pod ziemią.

Po tym, jak większa część Waszyngtonu została zniszczona przez – jak stwierdził prezydent Gray – „grupę wszawych dzieciaków z Psi”, naczelny wódz zadbał o to, by wzdłuż Wschodniego Wybrzeża wybudować tak zwane minifortece, na wypadek gdyby podobne zamieszki się powtórzyły. Niektóre powstały pod hotelami, inne wykuto w zboczach gór, a jeszcze inne, jak tę, umieszczono w małych miasteczkach pod sklepami albo budynkami administracji publicznej. Miały być schronami dla Graya, jego rządu i ważnych oficjeli wojskowych oraz – jak się okazało – więzieniami dla „jednostek wysoce zagrażających bezpieczeństwu narodowemu”.

Do takiego więzienia trafił Więzień 27, któremu najwyraźniej przysługiwało wyjątkowe traktowanie.

Jego cela znajdowała się na końcu długiego korytarza, dwa poziomy pod ziemią. Było to puste pomieszczenie z niskim, ciemnym sufitem. Ściany wydawały się rozmywać wokół mnie, ale poza tym wspomnienie było stabilne. Więzień 27 na głowie miał kaptur, a stopy przykuto mu do metalowego krzesła stojącego na środku celi w kręgu światła roztaczanego przez pojedynczą gołą żarówkę.

Oderwałam się od umysłu strażnika, rozluźniając zarówno psychiczny, jak i fizyczny chwyt. Mężczyzna osunął się na pomalowaną graffiti ścianę opuszczonej pralni. Wciąż był zagubiony we mgłę własnych myśli. Usuwanie z jego wspomnień mojej twarzy oraz obrazu oddziału zajmującego korytarz było jak zbieranie kamyków z dna przejrzystego, płytkiego stawu.

– Dwa poziomy pod nami, cela cztery B – powiedziałam do Roba.

Mieliśmy pobieżny szkic planu bunkra, jednak brakowało na nim wielu istotnych szczegółów. Nie poruszaliśmy się całkiem na oślep, ale do dokładności było nam daleko. Podstawowy rozkład tego rodzaju konstrukcji zawsze jest jednak mniej więcej taki sam: klatka schodowa albo szyb windy przebiegające przez całą jej wysokość i długi korytarz na każdym poziomie.

Rob wzniosł rękę, nie pozwalając mi dokończyć, i dał sygnał stojącym w tyle żołnierzom. Podałam mu kod z pamięci strażnika:

6-8-9-9-9-9-\* i odsunęłam się na bok. Pociągnęłam przy tym za sobą Vidę, która warknęła i pchnęła mnie na jednego z mężczyzn.

Nie widziałam oczu Roba, bo zasłaniały je okulary noktowizyjne błyskające zielonym światłem, ale nie było mi to potrzebne, żeby odczytać jego zamiary. Nie potrzebował nas i z pewnością nie uśmiechało mu się nas za sobą wlec, bo – jako były wojskowy, o czym uwielbiał nam przypominać – mógł z łatwością załatwić tę sprawę z pomocą kilku swoich ludzi. Myślę, że przede wszystkim był wściekły o to, że w ogóle musi się tym zajmować. Prawo Ligi stanowiło, że złapanych się degraduje. Nikt się o nich nie upominał.

Jeśli Alban chciał odzyskać agenta, musiał mieć ku temu naprawdę ważny powód.

Drzwi się rozsunęły i rozpoczęło się odliczanie. Piętnaście minut na to, żeby wejść, przejąc Więźnia 27 i się ulotnić. Tak naprawdę nie wiedzieliśmy tego na pewno – Rob po prostu ocenił, że tyle czasu upłynie od uruchomienia alarmów do pojawienia się posiłków.

Drzwi prowadziły na klatkę schodową na tyłach bunkra. Wiła się ona w dół i z każdym odcinkiem pogrążała głębiej w ciemności. Drogę oświetlały nam jedynie nieliczne światełka umieszczone wzdłuż metalowych schodów. Usłyszałam, jak jeden z mężczyzn przecina kabel od zawieszanej nad nami kamery, i poczułam, że dłoń Vidy popycha mnie do przodu, ale zabrało mi trochę czasu – za dużo – zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Drobinki środków chemicznych z pralni, zlepione z nieświeżym, suchym powietrzem paliły mnie w płucach.

Ruszyliśmy. Szybko i tak cicho, jak tylko grupa ludzi w ciężkich butach potrafi, pognaliśmy w dół.

Kiedy z Vidą dotarliśmy do pierwszego spocznika, krew dudniła mi w uszach. Sześć miesięcy szkolenia to niedużo, ale wystarczająco, żebym nauczyła się, jak zacisnąć mocniej znajomą broję koncentracji wokół swojego umysłu.

Coś twardego walnęło mnie w plecy, a po chwili coś jeszcze twardszego – ramię, karabin – i jeszcze raz, i jeszcze, w końcu uderzenia

stały się tak regularne, że musiałam przywrzeć do drzwi wychodzących ze spocznika. Kiedy minął nas ostatni członek oddziału, Vida wydała z siebie przenikliwy jęk. Tylko Rob się przy nas zatrzymał.

– Oslaniajcie nas, aż skończymy, a później pilnujcie wejścia. Nie opuszczajcie pozycji.

– Ale miałyśmy... – zaczęła Vida.

Stanęłam przed nią, nie pozwalając jej dokończyć. Nie, nie tak wyglądał pierwotny plan, ale to było lepsze rozwiązanie. Nie ma sensu, by którakolwiek z nas szła za nimi w głąb bunkra i ryzykowała życie. Vida wiedziała – powtarzano nam to do znudzenia – że dzisiaj to Rob jest dowódcą. A pierwsza i najważniejsza zasada – jedyna, która się liczyła w chwilach, gdy każde uderzenie serca było pełne przerażenia – stanowiła, że zawsze, nawet w obliczu walki, śmierci czy pojmania, ZAWSZE należy słuchać dowódcy.

Vida stała za mną na tyle blisko, że jej gorący oddech przenikał przez gruby splot mojej czarnej kominiarki. Czułam, jak jej wściekłość tnie zmrożone powietrze. Vida zawsze emanowała rodzajem zachłannej gorliwości, nawet wtedy, kiedy to Cate była dowódcą. Chęć wykazania się przed opiekunem niezmiennie przyćmiewała bardziej wartościowe umiejętności, które zdobyła podczas treningu. Były to dla niej: gra, wyzwanie, sposób, żeby popisać się świetną celnością, wyszkoleniem bojowym, ostrymi jak brzytwa zdolnościami Niebieskich. Dla mnie z kolei była to tylko kolejna idealna okazja, w której mogła dać się zabić. W wieku siedemnastu lat Vida być może była idealną rekrutką, którą Liga stawiała za przykład reszcie odmieńców, ale nie zdołała opanować jednego – kontroli poziomemu adrenaliny.

– Nigdy więcej nie waż się mnie dotykać, szmato – warknęła niskim, pełnym wściekłości głosem. Zaczęła się wycofywać, żeby ruszyć za resztą w dół schodów. – Jesteś aż takim śmierdzącym tchórzem, że zamierzasz dać się poniżyć? Nie obchodzi cię, że mają nas za nic? Ty...

Klatka schodowa uniosła się pod moimi stopami, jakby brała głęboki wdech tylko po to, by zaraz eksplodować. Nawet czas dał

się zaskoczyć i zwolnił – poderwało mnie w górę, zważyło z nóg i cisnęło na drzwi z taką siłą, że zdawało mi się, jakby wgniatały się pod naporem mojej czaszki. Vida upadła na ziemię, zasłaniając głowę, i wtedy dobiegł nas ryk granatu wstrząsowego, który rozsadził wejście w dole.

Gorący dym był tak gęsty, że aż przygniatający, ale najgorsza okazała się dezorientacja. Kiedy zmusiłam się, by otworzyć oczy, powieki paliły mnie, jakby mi je zrywano żywcem. Ciemność przenikało pulsujące czerwone światło, przedzierające się przez chmury cementowego pyłu. Stłumiony rytmiczny odgłos w uszach nie był biciem mojego serca. To był alarm.

Dlaczego użyli granatu, skoro wiedzieli, że kod do drzwi celi jest taki sam jak ten na zewnątrz? Nie było wymiany ognia – byliśmy z Vidą na tyle blisko, że usłyszałybyśmy, gdyby do niej doszło. Teraz wszyscy się dowiedzą, że weszliśmy do środka – profesjonalny oddział się tak nie zachowuje.

Zerwałam kominiarkę i dotknęłam prawej strony twarzy. Po ukłuciu ostrego, przeszywającego bólu tkwiąca w uchu słuchawka rozprysnęła się na kawałeczki. Przycisnęłam dłoń do boku głowy i chwiejnie wstałam, usiłując odeprzeć nadchodzące jedna po drugiej fale obezwładniających nudności. Kiedy się odwróciłam, żeby odnaleźć Vidę i wyciągnąć ją po schodach z powrotem na mroźne pensylwańskie powietrze, okazało się, że jestem sama.

Z walącym z przerażenia sercem przez chwilę wypatrywałam jej ciała przez dziurę ziejącą w podłodze. Było przez nią widać pędzących żołnierzy. Oparłam się o ścianę, usiłując utrzymać się na nogach.

– Vida! – Poczułam, jak jej imię wrywa mi się z gardła i znika zagłuszone przez dudnienie w uszach. – Vida!

Znajdujące się obok drzwi były wykręcone, wgięte i nadpalone, ale – jak się okazało – wciąż działały. Zgrzytnęły i zaczęły się rozsuwać, po czym zatrzymały się w połowie z przerażającym nieznośnym chrobotem. Na powrót przywarłam do ściany i zrobiłam dwa

kroki w górę po połamanych schodach. Znowu szczerze otuliła mnie ciemność i w tej samej chwili przez drzwi precyzyjnie się pierwszy żołnierz. Zaczął machać pistoletem w ciasnej przestrzeni. Wzięłam głęboki oddech i przykucnęłam. Minęła chwila, zanim odzyskałam ostrość widzenia, do tego czasu żołnierze jeden po drugim precyzyjnie się przez drzwi, przeskakiwali przez poszarpaną dziurę w podłodze i biegali w dół. Widziałam, jak dym połyka czterech, pięciu, sześciu. Miałam wrażenie, że towarzyszy temu seria dziwnych bzygających dźwięków, i dopiero gdy wstałam, i przetarłam ręką twarz, zorientowałam się, że to, co rozlegało się w dole, to odgłosy wystrzałów.

Vida zniknęła, oddział taktyczny wpakował się w sam środek gniazda os – i to na własne życzenie – a Więzień 27...

*Jasna cholera*, zakłęłam w myślach, gdy wracałam na spocznik. W każdej chwili bunkier mógł wypełnić się żołnierzami. Można się było spodziewać przynajmniej dwudziestu, trzydziestu. Pomieszczenia były za małe, żeby pomieścić większą liczbę, nawet tymczasowo. To, że korytarz chwilowo był pusty, nie oznaczało, że rozgrywająca się w dole walka odciągnęła całą uwagę strażników. Wiedziałam, że jeśli mnie złapią, będzie po mnie. Miałam wrażenie, że cokolwiek postanowię, i tak czeka mnie śmierć.

W głowie miałam jednak mężczyznę, którego ujrzałam w umyśle strażnika – więźnia z kapturem na głowie.

Nie czułam się szczególnie lojalna wobec Ligi Dzieci. Wiązała nas umowa, dziwaczny słowny kontrakt, który był w takim samym stopniu rzeczowy, jak krwawy. Poza członkami mojego zespołu nie zależało mi na nikim, a już z pewnością nikomu nie zależało na mnie. Liga dbała o absolutne minimum, czyli o utrzymywanie mnie przy życiu i w gotowości do infekowania ich celów jak wirus.

Stopy miałam wciąż wrośnięte w ziemię. W scenie z Więźniem 27 było coś, co sprawiało, że ciągle od nowa odtwarzałam ją w myślach. Sposób, w jaki związali mu ręce, w jaki wiedli go w mroczne trzewia bunkra. Połyskiwanie broni, niemożność ucieczki. Czułam



rozpacz kłębiącą się we mnie jak chmura pary i rozchodzącą się po całym ciele.

Wiedziałam, co znaczy być więźniem. Czuć, jak czas się zacina i staje w miejscu. Każdego dnia tracić odrobinę nadziei, że sytuacja się zmieni, że ktoś przyjdzie ci na ratunek. Doszłam do wniosku, że warto zaryzykować, nawet jeśli tylko po to, żeby do niego dotrzeć i pokazać mu, że nie jest sam, zanim nasza misja legnie w gruzach.

Nie było do niego bezpiecznej drogi, a tocząca się w dole walka zanosila się rykiem, jaki wydają tylko karabiny maszynowe. Więzień 27 musiał wiedzieć, że w bunkrze są ludzie. I że nie mogą się do niego dostać. Musiałam strząsnąć z siebie współczucie. Musiałam porzucić przekonanie, że ci dorośli zasługują na jakąkolwiek litość, zwłaszcza agenci Ligi. Nawet nowi rekruci cuchnęli mi krwią.

Czułam, że jeśli zostanę, tam gdzie rozkazał mi Rob, mogę już nigdy nie odnaleźć Vidy. Ale wiedziałam, że jeśli się ruszę i okażę nieposłuszeństwo, wpadnie w furję.

*Może chciał, żebyś stanęła, tam gdzie nastąpił wybuch, szeptał ci chy głosik z tyłu mojej głowy. Może miał nadzieję...*

Nie. Nie zamierzałam się teraz nad tym zastanawiać. Byłam odpowiedzialna za Vidę. Nie za Roba, nie za Więźnia 27. Za przekleństwa, zmijowatą Vidę. Postanowiłam, że odegram od nowa całą scenę w głowie, kiedy już się stamtąd wydostanę, kiedy odnajdę Vidę i wrócę z nią bezpiecznie do Bazy. Nie teraz.

W uszach ciągle słyszałam dudnienie własnego pulsu, zbyt głośne, by mógł do mnie dotrzeć odgłos ciężkich kroków dobiegających z posterunku wartownika w pralni.

Żołnierz był młody. Gdybym miała go ocenić wyłącznie po wyglądzie, pomyślałabym, że jest starszy ode mnie zaledwie jakieś pięć lat. Ryan Davidson. Mój mózg otworzył odpowiednią teczkę i wydobyl całą stertę niepotrzebnych informacji z kartoteki misji. Urodzony i wychowany w Teksasie. Po zamknięciu college'u, do którego uczęszczał, wstąpił do Gwardii Narodowej. Zrobił dyplom z historii sztuki.

Widzieć przed sobą czyjeś życie zamknięte w drukowanych, równych, czarnych literach to jedno. Zupełnie czym innym było stanąć twarzą w twarz z żywym człowiekiem. Poczuć jego gorący, cuchnący oddech i zobaczyć, jak tętno pulsuje mu na szyi.

– Ej, ty! – Sięgnął do boku po broń, ale kopnęłam go w rękę i posłałam karabin ze szczękiem na ziemię i w dół schodów.

Oboje rzuciliśmy się za nim.

Łupnęłam brodą o metal z taką siłą, że zatrzęsł mi się mózg. Przez jedną przedziwną sekundę nie widziałam nic poza śnieżnobiałym rozbłyskiem światła. Po chwili wszystko wróciło w rozświetlonych, mocnych kolorach. Następny do świadomości przeniknął ból – kiedy żołnierz runął na mnie i powalił na ziemię, zatopiłam zęby w dolnej wardze i ją przegryzłam. Krew trysnęła na schody.

Strażnik przycisnął mnie całym swoim ciężarem. Kiedy się poruszyłam, wiedziałam, że sięga po krótkofalówkę. Z głośnika dobiegał kobiecy głos. Słyszałam, jak mówi: „Podaj status”, a potem „Już idę”.

Świadomość tego, jak bardzo mam przekichane, wprawiła mnie w stan, który trener Johnson zwykł nazywać kontrolowaną paniką.

Paniką, bo wyglądało na to, że sytuacja szybko się pogarsza.

Kontrolowaną, bo to ja byłam w niej napastnikiem.

Jedną rękę przygniatałam sobie klatką piersiową, druga była wklonowana między moje plecy a jego brzuch. To ona stanowiła moją szansę. Na tyle, na ile mogłam, podwinęłam mu mundur w poszukiwaniu nagiej skóry. Rozpierzchnięte macki mojego umysłu wyciągnęły się w jego kierunku i jedna po drugiej wniknęły do jego głowy. Przebiły się przez wspomnienie mojej zaskoczony twarzy za drzwiami, przez nastrojowe niebieskawe obrazy kobiet tańczących na scenach oświetlonych przydymionym światłem, przez obraz nieznanego mężczyzny zamierzającego się na niego pięścią...

Potem ciężar ustąpił i moje płuca na powrót zalała fala powietrza, zimnego i nieświeżego. Podniosłam się i wciągałam je łączywie haustami na czworakach. Stojący obok strażnik rzucił się ze schodów jak zmięta kulka papieru.

– Wstawaj! Musimy...

Słowa brzmiały, jakby dochodziły spod powierzchni wody. Gdyby nie pasemka jaskrawofioletowych włosów wystających spod kominarki, nie rozpoznałabym Vidy. Jej ciemna koszula i spodnie były podarte i wyglądało na to, że trochę kuleje, ale żyła i była obok. I to w jednym kawałku – mniej więcej. Jej głos dobiegał do mnie przez głucho dzwoniące w uszach.

– Rusz się! – krzyczała. – Idziemy!

Rzuciła się w dół, ale chwyciłam ją za strzęp kamizelki kuloodpornej i pociągnęłam w tył.

– Wychodzimy stąd. Będziemy osłaniać wejście. Czy twój zestaw słuchawkowy działa?

– Oni tam ciągle walczą! – wrzasnęła. – Możemy im się przydać! Zabronił nam opuszczać pozycji...!

– Potraktuj to jako rozkaz ode mnie!

Musiała mi się podporządkować, tak to działało. Właśnie tego nienawidziła we mnie i całej tej sytuacji najbardziej – to ja miałam decydujący głos. To ja wydawałam rozkazy.

Splunęła mi pod stopy, ale czułam, że wspina się za mną po schodach, przeklinając pod nosem. Przeszło mi przez myśl, że z łatwością mogłaby wyciągnąć nóż i przeorać mi kręgosłup.

Strażniczka, którą zastałam na zewnątrz, wyraźnie się mnie nie spodziewała. Uniosłam dłoń i wyciągnęłam ją w jej kierunku, żeby wpłynąć na nią i ją odesłać, ale huk wystrzału pistoletu Vidy nad moim ramieniem odrzucił mnie daleko w tył, szybciej, niż struga krwi zdążyła wytrysnąć z szyi kobiety.

– Żadnego cackania się! – rzuciła VIDA, wyciągając pistolet, który jakimś cudem wciąż tkwił przypięty do mojego boku, i wciskając mi go w dłoń. – Idziemy!

Zacisnęłam palce na znajomym kształcie. Był to typowy pistolet służbowy – czarny sig sauer P229 DAK – który wciąż, po wielu miesiącach nauki strzelania, czyszczenia i składania, zdawał się dla mnie za duży.

Rzuciłyśmy się pędem w noc. Usiłowałam znowu chwycić Vidę, żeby ją spowolnić, zanim wpakuje się w tarapaty, ale mi się wyrwała. Wbiegłyśmy w wąską alejkę.

Dopałam węgła dokładnie w chwili, w której trzech żołnierze, osmoleni i krwawiący, wyciągali dwie zakapturzone postacie z czegoś, co wyglądało jak duży przydrożny rów. Ten punkt dostępu z całą pewnością nie był opisany w kartotece operacji, którą otrzymaliśmy.

Więzień 27? Nie miałam pewności. Jeńcy, których żołnierze ładowali do furgonetki, byli mężczyznami, mniej więcej tego samego wzrostu, istniała więc pewna szansa. I ta szansa miała nam właśnie odjechać sprzed nosa.

Vida przycisnęła dłoń do ucha i zacisnęła do białości usta.

– Rob nas wzywa. Potrzebuje wsparcia.

Już się odwracała, kiedy znowu ją chwyciłam. Chyba po raz pierwszy w życiu byłam odrobinę szybsza.

– Naszym celem jest Więzień Dwadzieścia Siedem – wyszeptalam, starając się zabrzmieć tak, by przemówić do jej bezrefleksyjnego poczucia lojalności wobec organizacji. – I myślę, że to właśnie on. To po niego wysłał nas Alban i jeśli się nam wymknie, całą operację trafi szlag.

– On... – zaprotestowała Vida, po czym połknęła resztę tego, co prawie wyszło z jej ust. Zacisnęła zęby i niemal niezauważalnie skinęła głową. – Jeśli nas pogrążysz, nie pójde z tobą na dno. Zapamiętaj to sobie.

– Wezmę całą winę na siebie – powiedziałam. – Będziesz czysta.

Żadnej skazy na jej operacyjnej historii, żadnej zadry na zaufaniu, którym obdarzali ją Cate i Alban. Nic nie ryzykowała – mogła zdobyć „chwałę” za powodzenie akcji, a w najgorszym wypadku przyglądać się, jak ja zostaję ukarana i upokorzona.

Nie spuszczałam oczu z wydarzeń rozgrywających się przed nami. Widziałam trzech żołnierzy – byłam w stanie rozprawić się z nimi za pomocą kul, ale żeby naprawdę wykorzystać sytuację, musiałam

podejść na tyle blisko, by móc ich dotknąć. Było to jedyne i frustrujące ograniczenie moich zdolności, którego wciąż nie przezwyciężyłam mimo forsownych ćwiczeń, do których zmuszała mnie Liga.

Niewidzialne macki mieszkające w mojej czaszce niecierpliwiły się, jak gdyby oburzone, że nie mogą działać samodzielnie.

Wbiłam wzrok w najbliższego żołnierza i starałam się wyobrazić sobie długie, wijące się palce wyciągające się ku niemu, pokonujące dzielącą nas przestrzeń, by wnikać do jego niestrzeżonego umysłu. Przypomniałam sobie, że Clancy to potrafił. Nie musiał dotykać ludzi, żeby wejść w ich myśli.

Przelknęłam krzyk frustracji. Potrzebowałyśmy czegoś innego. Czegoś, co odwróciłoby ich uwagę, czegoś, co...

Vida miała mocne plecy i silne kończyny, dzięki czemu nawet jej najbardziej ryzykowne akcje były pełne gracji i zdawały się przychodzić jej z łatwością. Zobaczyłam, jak unosi pistolet i namierza cel.

– Zdolności! – syknęłam. – Vida, żadnej broni. Zaalarmujemy innych!

Spojrzała na mnie, jakby mózg wyciekał mi przez nos w postaci papki. Zastrzelenie żołnierzy było szybkim rozwiązaniem, obie byłyśmy tego świadome, ale gdyby chybiła i trafiła któregoś z więźniów albo gdyby odpowiedzieli ogniem...

Opuściła broń i westchnęła z irytacją. Następnie wyrzuciła obie ręce do przodu. Poderwała w górę oficerów Gwardii Narodowej z taką dokładnością i siłą, że wylądowali w połowie kwartału, na zaparkowanych tam samochodach. Nie dość, że Vida była fizycznie najszybsza i najsilniejsza z nas oraz miała najlepszą celność, to oczywiście musiała też najlepiej kontrolować swoje zdolności.

Pozwoliłam wyłączyć się części mojego mózgu odpowiedzialnej za emocje. Najcenniejszą umiejętnością, której nauczyła mnie Liga Dzieci, było pozbycie się strachu i zastąpienie go czymś nieskończenie zimniejszym. *Uspokój się, uspokój, skup się, opanuj nerwy* – udało się. I chociaż krew szumiała mi w żyłach, ruszyłam w kierunku więźniów.

Cuchnęli wymiocinami, krwią i ludzkimi nieczystościami. Zupełnie inaczej niż sterylne, czyste wnętrze bunkra przesiąknięte smrodem wybielacza. Żołądek podszedł mi do gardła.

Więzień leżący bliżej kulił się przy rowie, wznosząc związane ręce nad głowę. Koszulę miał w strzępach, spod których wylały się pręgi, poparzenia i sińce, sprawiające, że jego plecy wyglądały bardziej jak talerz surowego mięsa niż ciało.

Mężczyzna odwrócił się w kierunku odgłosu moich kroków, wychylając twarz zza osłony ramion. Zerwałam mu kaptur z głowy. Na końcu języka miałam słowa otuchy, ale na jego widok połączenie między moim mózgiem a ustami zostało zerwane. Spod czupryny rozczochranych blond włosów patrzyły na mnie zmrużone niebieskie oczy. Nie byłam w stanie nic zrobić, nic powiedzieć, nie po tym, jak pochylił się głębiej w krąg jasnożółtego światła latarni.

– Rusz się, ofiario! – krzyknęła Vida. – Co tak wolno?

W jednej chwili poczułam, jak odpływa ze mnie cała krew, szybko i sprawnie, jakby strzelono mi prosto w serce. I nagle to do mnie dotarło – rozumiałam, dlaczego Cate na samym początku tak uparcie walczyła, żeby przepisać mnie do innej misji, dlaczego zakazano mi wchodzić do bunkra, dlaczego nie podano żadnych informacji o więźniu. Nie dostałam imienia ani opisu. Nikt mnie nie ostrzegł.

Twarcz, na którą teraz patrzyłam, była szczuplejsza, ściągnięta i zmęczona, ale znałam tę twarz. Ja ją...

*Tylko nie on*, pomyślałam, czując, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. *Nie on*.

Widząc moją reakcję, powoli wstał. Szelmowski uśmiech przebił się przez grymas bólu. Z trudem trzymał się na nogach i chwiejnie ruszył w moją stronę. Pomyślałam, że wygląda na rozdartego pomiędzy ulgą a pośpiechem. Kiedy jednak w końcu się odezwał, południowy zaśpiew w jego akcencie był ciepły jak nigdy, choć jego głos okazał się głębszy i bardziej szorstki.

– Czy... wyglądam tak znakomicie, jak się czuję?

I przysięgam. Przysięgam. Poczułam, że czas przestał istnieć.